

JADWIGA KIWERSKA
Poznań

REAKCJA USA NA TERRORYZM

Nie ma przesady w stwierdzeniu, że najbardziej dramatyczną manifestacją radykalizmu był atak Al-Kaidy na Stany Zjednoczone 11 września 2001 r. Zarówno radykalizm w działalności politycznej, jak i terror jako sposób prowadzenia walki politycznej przy użyciu przemocy i jednocześnie najgroźniejsze uosobienie radykalizmu mają bardzo długą historię. Celem terrorystów już od starożytności byli politycy, ośrodki władzy, urzędy, sztaby wojskowe. W czasach najnowszych terrorystom chodziło z reguły o destabilizację społeczeństwa, podważenie demokratycznych procedur państwa, ale przede wszystkim wytworzenie psychozy, porażenie i zastraszenie. „Akt terroru jest niczym, propaganda tego aktu – wszystkim” – pisał Walter Laqueur, jeden ze znawców problematyki terroryzmu¹.

Terrorystyci atakowali więc na długo przed 11 września 2001 r., różne cele, ale ich ofiarami była też ludność cywilna. Operowali na Bliskim Wschodzie, w Azji, w Afryce, w Europie i obu Amerykach. Wzrastająca różnorodność metod walki terrorystycznej, zmieniające się cele ataków i żądania terrorystów potwierdzały, że terroryzm to stałe zagrożenie. Jednak swoiste apogeum tego rozwoju stanowiła Al-Kaida, organizacja fundamentalistów islamskich, wyrosła w dużej mierze na nienawiści do Stanów Zjednoczonych, podzielanej przez wielu muzułmanów. Chodziło między innymi o amerykańską obecność w Arabii Saudyjskiej od czasu pierwszej wojny w Zatoce Perskiej i „zbrukanie przez niewiernych” świętej ziemi Mahometa. Arabska ulica nienawidziła USA także za wsparcie dla Izraela w konflikcie bliskowschodnim, zwłaszcza za pomoc finansową – od zawarcia w 1979 r. porozumienia izraelsko-egipskiego w Camp David Izrael co roku otrzymywał z Ameryki blisko 5 mld dol. Stany Zjednoczone udzielały też państwu żydowskiemu wsparcia wojskowego, oferując najnowsze rozwiązania technologiczne.

Tymczasem Izrael dla Arabów to główny wróg islamu, a jego polityka wobec Palestyńczyków była powszechnie uważana w świecie arabskim za zbrodniczą. Dlatego, gdy cały niemal świat solidaryzował się z Ameryką po atakach na Nowy Jork i Waszyngton, to na ulicach Autonomii Palestyńskiej, terytoriach

¹ W. Laqueur, *No End to War: Terrorism in the Twenty – First Century*, New York 2000, s. 48.

okupowanych w Izraelu oraz w obozach uchodźców w Libanie z radości wiwatowali Palestyńczycy. Przyczyną nienawiści do Stanów Zjednoczonych była zresztą ich cała polityka na Bliskim Wschodzie. Po upadku Związku Radzieckiego to właśnie Waszyngton stał się jedynym rozgrywającym w regionie: popierał różne przyjazne mu reżimy arabskie, nawet te, które drastycznie łamały prawa człowieka, posiadał strategiczny sojusz z Izraelem, a ponadto – w powszechnym przekonaniu – kontrolował największe na świecie zasoby ropy naftowej.

Trudno też nie wspomnieć o wielkiej niechęci, jaką budziła Ameryka ze względu na swe bogactwo, dominację, ekspansję swej kultury, stylu życia i bycia, tak bardzo odmiennego od sposobu funkcjonowania świata islamu, a nawet sprzecznego z wieloma jego zasadami. Nietrudno było zatem kreować Amerykanów na wysłanników szatana, któremu – co gorsza – wielu wyznawców islamu, skuszonych „świecidełkami”, zaprzedało duszę. Dlatego też arabska ulica była dumna z ciosu, jaki 11 września 2001 r. zadano Ameryce.

Sympatii Stanom Zjednoczonym nie przysparzała także rosnąca dysproporcja między poziomem życia mieszkańców cywilizacji Zachodu a światem arabskim i muzułmańskim, będąca efektem gospodarczego i społecznego zacofania tego drugiego. Wynikające z tego uczucie upokorzenia i poczucie beznadziei były udziałem setek milionów ludzi w krajach islamskich. Najłatwiej winą za to wszystko było obarczyć Stany Zjednoczone – dostatnie i bogate, aroganckie i zachłanne – które zamiastłożyć na biedne państwa arabskie, wspierają posłuszne im reżimy, przykładając się do okradania i wykorzystywania biednych. W wielu stolicach arabskich i muzułmańskich wytworzył się więc negatywny obraz Ameryki jako państwa wrogiego Arabom i islamowi.

W pewnym momencie na czoło tej walki z Ameryką wysunęła się Al-Kaida. Wkrótce większość zamachów terrorystycznych zaczęto wiązać z tą organizacją i jej przywódcą Osamą bin Ladenem, m.in. eksplozję w Adenie (Jemen) w 1992 r., nieudany zamach na prezydenta Billa Clintona na Filipinach. W 1993 r. w samej Ameryce przeprowadzono atak terrorystyczny i to właśnie na *World Trade Center*, w którego podziemiach eksplodowała bomba. Wybuch potężnego ładunku zabił 6 osób, a ponad tysiąc odniosło rany. Wprawdzie to nie bin Laden był odpowiedzialny za wybuch, jednak bez wątpienia było to dzieło islamskich fundamentalistów. Udało się 6 z nich aresztować, a potem skazać na dożywotnie więzienie.

W Arabii Saudyjskiej, ojczyźnie islamu i Osamy bin Ladena, Amerykanie zostali zaatakowani dwukrotnie. W listopadzie 1995 r. samochód pułapka eksplodował przed siedzibą wojskowych doradców z USA w Rijadzie. Zginęło 7 osób. Ponad pół roku później ciężarówka z trotylem wjechała do bazy lotniczej USA w Al-Chobar w Dahraniu, zabijając 19 Amerykanów i raniąc ponad 500. Niezwykle krwawym okazał się rok 1998. Wówczas to 7 sierpnia terroryści bin Ladena w kilkunastuminutowych odstępach wysadzili w powietrze budynki ambasad USA w Nairobi (Kenia) i Dar es-Salaam (Tanzania), zginęło ponad 200 osób, w większości ludność miejscowa, a 4 tysiące zostało rannych. „Bóg jeden wie, jaką

przyjemnością było dla nas zabijanie amerykańskich żołnierzy” – komentował ten zamach bin Laden w wywiadzie dla tygodnika „Time”².

Także w 1998 r. „koalicja islamskich ugrupowań” oraz Osama bin Laden wydali na Amerykę dwie fatwy, czyli oficjalny muzułmański dekret religijny, nadający poleceniu rangę świętości. Wzywano w nich do ataków na obywateli USA oraz godzenie w interesy amerykańskie na całym świecie. Ataki miały być ponawiane do czasu „wycofania” sił USA z Arabii Saudyjskiej i Jerozolimy (!)³. Wydanie wojny Stanom Zjednoczonym czyniło bin Ladena bohaterem świata muzułmańskiego.

Po atakach na ambasady amerykańskie prezydent Bill Clinton zdecydował się na odwet z zamiarem zabicia saudyjskiego terrorysty. Już bowiem wcześniej – na początku 1998 r. – obóz Al-Kaidy we wschodnim Afganistanie został namierzony przez CIA, planowano wówczas nawet uprowadzenie bin Ladena, ale akcję odwołano, bo administracja Clintona bała się ofiar wśród kobiet i dzieci, przebywających w obozie. Po zamachu w Kenii i Tanzanii zdecydowano się uderzyć. Ale atak raketowy Amerykanów na kryjówkę bin Ladena, przeprowadzony 20 sierpnia 1998 r. (zrzucono ponad 70 raket *Tomahawk*), nie powiódł się. Najbardziej poszukiwany terrorysta świata wraz ze swoimi komendantami i bojownikami wyszedł bez szwanku, gdyż kilka godzin wcześniej opuścił namierzoną kryjówkę. Być może wiadomość o ataku bin Laden zdobył dzięki swym źródłom w Pakistanie. Amerykanie poinformowali dzień wcześniej Islamabad po to, aby Pakistańczycy nie wzięli amerykańskich *Tomahawków* za rakiety indyjskie.

Atak z sierpnia 1998 r. był jedynym przypadkiem, gdy administracja Clintona zdecydowała się uderzyć w bin Ladena. Inne akcje wstrzymywał brak zdecydowania Białego Domu. Prezydent Clinton był spętany rozgrywającym się w tym czasie skandalem obyczajowym i obawiał się posądzenia o próbę odwrócenia uwagi od afery z Moniką Lewinsky. Poza tym ludzie Clintona nie ufali CIA i jej agentom, traktując ich niemal jak dinozaurów zimnej wojny. Pomimo sygnałów ze strony wywiadu o namierzeniu bin Ladena nie zdecydowano się podejmować akcji zbrojnej.

Efekt był jedynie taki, że przywódca afgańskich talibów, mułła Mohammed Omar, w obawie przed kolejnymi atakami Amerykanów, zmusił bin Ladena do przeniesienia się w bezludne i niedostępne góry w prowincji Uruzgan. Przywódca Al-Kaidy zaszył się tam ze swoimi ludźmi i sztabem. Przebywał najczęściej w pieczarach, gdzie był niedostępny dla satelitów szpiegowskich. Przemieszczał się rzadko, tylko nocami, w orszaku strzeżonym przez swoich bojowników, wyposażonych w przenośne wyrzutnie raketowe *Stinger*, podarowane mudżahedinom przez Amerykanów w okresie wojny afgańskiej, gdy to Osama bin Laden, walczący z armią radziecką, był sojusznikiem Ameryki. Czasami przywódca Al-Kaidy organizował na pustyni konferencje prasowe, na których swoim aksamitnym,

² Przedruk w: „Gazeta Wyborcza” 22-23.09.2001.

³ Zob. szerzej: A. Wejkszner, *Ewolucja terroryzmu motywowanego ideologią religijną na przykładzie salafickiego ruchu globalnego dżihadu*, Poznań 2010, s. 241-242.

cichym głosem recytował wojownicze wiersze, strofy z Koranu, przeklinał Stany Zjednoczone i nawoływał do walki z nimi. „Wrogość wobec Ameryki jest obowiązkiem religijnym i mamy nadzieję, że Bóg nas za to wynagrodzi” – twierdził bin Laden. Nie ustawał też w organizowaniu zamachów terrorystycznych.

Kilka dni po tym, jak Clinton kolejny raz odmówił zgody na zaatakowanie bin Ladena, przebywającego w obozie Tarnak, nieopodal Kandaharu (podobno poruszyła go widoczna na szpiegowskim zdjęciu dziecięca huśtawka), 17 października 2000 r. do burty stojącego w jemeńskim porcie Aden supernowoczesnego amerykańskiego okrętu USS *Cole* podpłynęła łódka wypełniona materiałami wybuchowymi. W zamachu zginęło 17 marynarzy. Gdyby ładunek eksplodował w odpowiednim miejscu, mogło zginąć nawet 300 Amerykanów. Jak później potwierdzono, zamach był dziełem Al-Kaidy. Tak więc mimo prób Amerykanom nie udało się dopaść bin Ladena. Jego pozycja rosła, gdyż udawało mu się uniknąć odwetu ze strony największego supermocarstwa. Stawał się idolem rozzarowanej biedoty arabskiej, upokorzonej, pozbawionej pracy i widoków na przyszłość.

Co więcej, uderzając skutecznie 11 września 2001 r. na amerykańskie najbardziej wrażliwe ośrodki polityczne, gospodarcze i wojskowe Al-Kaida dowiodła, że stanowi zagrożenie na ogromną, niespotykaną dotąd skalę. Zdumienie budził stopień precyzji i koordynacji operacji w czasie i przestrzeni. Cel osiągnięto nie tylko dzięki fanatycznej determinacji porywaczy, ale również umiejętności posługiwania się najnowocześniejszymi osiągnięciami techniki. Nie bez racji więc nazwano atak na Amerykę rzeczywistym początkiem XXI w.

Niewątpliwie uprawiany przez Al-Kaidę i podobne jej grupy terroryzm miał zupełnie inny charakter niż ten, z którym świat zmagał się wcześniej. Po ataku na Nowy Jork i Waszyngton wiadomo było, że celem zamachowców nie jest już tylko kilkunastu pasażerów, jak było np. na lotnisku w Mediolanie, zgładzonych przez Czerwone Brygady w końcu lat 60., czy owych 21 klientów, którzy w 1987 r. zginęli w barcelońskim supermarkecie od bomby podłożonej przez baskijskich separatystów, ale setki, a nawet tysiące niewinnych ofiar. Chodziło o kolosalne straty i ogromne koszty ludzkie. Liczył się bowiem efekt, im bardziej przerażający – tym lepiej.

Po drugie, w latach 70. – okresie wyjątkowego natężenia zamachów terrorystycznych w świecie – i później, w latach 80., porywając samoloty, atakując wrogie posterunki, siedziby władz czy miejsca publiczne terroryści palestyńscy, baskijscy z *ETA* lub bojownicy spod znaku *IRA* stawiali wyraźne żądania polityczne. Przy całej ich brutalności można było dostrzec też elementy jakiejś racjonalności i proporcjonalności metod oraz celów. Teraz terroryści nie stawiali żądań. Atakowali, dokonywali zamachów, zabijali i albo znikali, albo ginęli w samobójczych uderzeniach. „Wy kochacie życie, my kochamy śmierć” – zdawało się brzmieć przesłanie tego nowego terroryzmu. Celem nie było wymuszenie czegoś lub zajęcie terytorium, zemsta czy odwet, lecz sianie zniszczenia. Porwano samoloty i roztras-

kano je o wieżowce *WTC*. Nikt niczego nie żądał. Mógł natomiast uderzyć ponownie, równie, a może i bardziej skutecznie.

Po trzecie, Al-Kaida dowiodła też, że skończyła się walka słabych z silnymi, a rozpoczęła wojna silnych z bardzo silnymi. Co gorsza, był to przeciwnik gotowy na wszystko, który nie stosuje żadnych reguł. Choć wiadomo było, że jest to fundamentalista islamski pragnący narzucić całemu światu utopię, a jeśli się nie uda, to świat ten zniszczyć, to jednak w rzeczywistości wróg ten nie był do końca zidentyfikowany. Zapowiadała się więc walka z „armią cienia”.

Stało się to, co później Henry Kissinger, amerykański polityk i dyplomata, nazwał „prywatyzacją” polityki zagranicznej⁴. Ataku na Stany Zjednoczone dokonały siły niekontrolowane przez żaden rząd, choć korzystające z potajmnego lub bezpośredniego wsparcia niektórych państw. Już to utrudniało identyfikację wroga i komplikowało walkę. Wiadomo, że w takiej sytuacji nie będzie skuteczna strategia odstraszenia – tak ważna w okresie zimnej wojny, gdy trzeba było szachować Związek Radziecki i która stanowiła tak cenny atrybut Stanów Zjednoczonych. Dawniej potencjalnym agresorem były państwa silne, które można było obserwować, monitorować, reagować na ewentualne zagrożenia i odstraszać. Dyplomacja, prowadzona nawet z pozycji siły, jest jednak bezskuteczna w odniesieniu do grup tak radykalnych, którym obcy jest kompromis, gdyż uprawiają swego rodzaju rewolucyjną politykę zagraniczną wyrosłą na fanatyzmie i nienawiści. Tak skrajnego radykała jak fundamentalista islamski nie da się przekupić, zastraszyć czy przekonać racjonalnymi argumentami. Śmierć samobójcza w zamachu terrorystycznym była dla niego przepustką do raju. Chwała męczenników, którzy polegli w eksplodujących samochodach czy samolotach, napędzała kolejnych bojowników świętej sprawy, gotowych zginąć w podobny sposób.

Po czwarte, chodziło i o to, że zestaw nowych środków, które mogli użyć terroryści, był oszalałający: cały arsenał broni masowego rażenia, wirusy komputerowe, generatory poddźwiękowe, niezwykle silnie oddziałujące na ludzkie organizmy itp. I choćby pod tym względem był to terroryzm nowej generacji. To globalizacja, postrzegana w krajach biedniejszych jako zagrożenie neokolonialne, w rzeczywistości ułatwiała dostęp do najnowocześniejszych środków technicznych. Mowa o superkomputerach i wszystkich pochodnych z Internetem na czele. Wysoka technologia, którą – jak się okazało – mogli również doskonale posłużyć się muzułmańscy terroryści, stawała się zagrożeniem dla cywilizacji, która ją stworzyła.

Wreszcie po piąte i być może najważniejsze, nie bez racji uderzenie na symbole amerykańskiej potęgi i amerykańskiego (zachodniego) stylu życia zmuszało, aby powrócić do głośnej swego czasu tezy Samuela P. Huntingtona. Amerykański politolog przepowiadał w niej światu nowe zagrożenie: wiek XXI będzie zderzeniem cywilizacji, gdyż w konfliktach światowych znaczącą rolę zacznie odgrywać

⁴ Rozmowa z H. Kissingerem, *Sojusz w ślepej uliczce*, „Rzeczpospolita” 17-18.05.2003.

czynnik kulturowy. Ludzkimi poczynaniami kierować będzie nie tyle głód chleba, co pragnienie tożsamości, poszukiwanie wspólnych dla danej grupy symboli, tradycji, więzi religijnych. Globalizacja nie pociągnie za sobą westernizacji: upowszechnienia się ideałów świata zachodniego. Wprost przeciwnie, każdy z kręgów cywilizacyjnych będzie zabiegać o umocnienie swojej spistości i dominacji, a tam, gdzie ich interesy będą ze sobą kolidować (zwłaszcza na styku cywilizacji zachodniej z islamską), nieuchronnym rozwiązaniem będzie wojna⁵.

Nie tylko przedstawiciele myśli konserwatywnej w świecie poszli tropem Huntingtona i atak Al-Kaidy oraz ten nowy terroryzm odczytali jak forpocztę wojującego islamu: „religii – ideologii totalnej”, którego zadaniem jest zniszczenie cywilizacji zachodniej, rozprawienie się z chrześcijaństwem i triumf wiary Mahometa. Ta święta wojna z Zachodem – dżihad ma na celu stworzenie państwa-królestwa, w którym odzwierciedlone zostaną nauki Koranu. W takim duchu pisała też słynna włoska dziennikarka i publicystka, niegdyś mocno lewicująca Oriana Fallaci: „fanatycy islamscy chcą zabijać nas i nasze dzieci tylko dlatego, że pijemy wino lub piwo albo nie nosimy długiej brody lub czarczaflu”. Jej słynny artykuł *La rabbia e l'orgoglio*, opublikowany tuż po ataku na Amerykę we włoskiej gazecie „Il Corriere della Sera”, był więc apelem o przebudzenie się świata zachodniej cywilizacji i podjęcie walki z islamem⁶.

Włoska pisarka miała słuszość przynajmniej w części. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że bin Ladenowi chodziło o doprowadzenie do starcia cywilizacyjnego pomiędzy Zachodem a światem muzułmańskim. Chciał najprawdopodobniej wywołać antyzachodni odruch „arabskiej ulicy” i sprowokować Zachód do walki totalnej ze światem islamu. „Kilkunastu ludzi uzbrojonych w plastikowe noże za pomocą największych i najnowocześniejszych samolotów w Stanach Zjednoczonych zważyło największe budynki w kraju tylko po to, aby zwerbować światową armię mediów i sprowokować tę prawdziwą armię amerykańską do działań. Jej uderzenie na kilka krajów muzułmańskich i śmierć wielu niewinnych muzułmanów byłoby otwarciem drogi do wojny między Ameryką (Zachodem) a cywilizacją islamu” – pisał wybitny amerykański publicysta Jonathan Schell⁷.

A zatem od tego, w jaki sposób świat odpowie na wyzwanie XXI w., tak dramatycznie udokumentowane 11 września 2001 r., uzależnione było w dużej mierze powodzenie celów bin Ladena. Gdyby w odwecie zastosowano zasadę „odpowiedzialności zbiorowej” i skierowano oskarżenia pod adresem całego świata muzułmańskiego oraz arabskiego, przywódca Al-Kaidy dopiąłby swego, a w rezultacie mogłoby dojść do wojny totalnej i jej niewyobrażalnych skutków. Stąd też bezpośrednio po ataku na USA przywódcy polityczni świata Zachodu oraz przedstawiciele elity intelektualnej w Europie i Ameryce wielokrotnie przestrzegali

⁵ S.P. Huntington, *The Clash of Civilization?* „Foreign Affairs” Summer 1993, No 3, s. 22-49.

⁶ W polskiej wersji: O. Fallaci, *Wściekłość i duma*, „Gazeta Wyborcza” 6-7.10.2001.

⁷ J. Schell, *Niebezpieczeństwo własnej potęgi*, „Gazeta Wyborcza” 2.10.2001.

przed pokusą stawiania równości między islamem a terroryzmem fundamentalistów islamskich. Pisano, że fundamentalizm islamski jest wynaturzeniem religii, a terroryzm stosowany przez bin Ladena i jego zwolenników nie wyznacza kierunku rozwoju islamu. Trzeba ukarać terrorystów, ale nie można dopuścić do „ślepego odwetu”. Należy prowadzić skuteczną wojnę z terroryzmem nowej generacji, ale trzeba ją prowadzić w sposób przemyślany, aby nie wpaść w zastawioną przez saudyjskiego terrorystę pułapkę.

Jaką formułę przyjmie ta walka, zależało przede wszystkim od Stanów Zjednoczonych – bezpośredniej ofiary uderzenia Al-Kaidy. Tym bardziej że takiego ataku na własne terytorium USA nigdy jeszcze nie doświadczyły. Nawet uderzenie Japończyków na Pearl Harbor w grudniu 1941 r. było w sensie psychologicznym aktem o znacznie mniejszej doniosłości, gdyż doszło do niego na peryferiach amerykańskiego obszaru – *de facto* na terytorium zamorskim. Tym razem uderzono w serce Stanów Zjednoczonych, grzebiąc iluzję Amerykanów, że ich kraj to forteca oddzielona od wszelkich nieszczęść wodami Pacyfiku i Atlantyku oraz chroniona potęgą militarną, niemającą sobie równej w historii. W zamian do świadomości amerykańskiej wkroczył strach, powodując wyraźne osłabienie poczucia bezpieczeństwa. Był to jeden z najbardziej doniosłych skutków uderzenia na Nowy Jork i Waszyngton.

Amerykanie zostali też głęboko upokorzeni, gdyż ataki na *World Trade Center* i *Pentagon* były wielkim wyzwaniem rzuconym supremacji USA, wszak uderzono w symbole amerykańskiej potęgi gospodarczej, politycznej i militarnej. Tylko zrządzenie losu, okupione zresztą także ofiarami, spowodowało, że nie udał się atak na trzeci cel: Biały Dom, budynek Kongresu lub prezydencką rezydencję w Camp David. Ale poza tym wszystkim grozę budziła skala i perfidia działania terrorystów. Stąd wzięła się ogromna determinacja, aby ukarać agresorów, tak jak zrobił to prezydent Franklin D. Roosevelt po ataku na Pearl Harbor w 1941 r. Podobnej reakcji spodziewano się i teraz.

Nikt nie miał wątpliwości, że Ameryka odpowie terrorystom. Wszak atak Al-Kaidy 11 września 2001 r. uznano powszechnie za wypowiedzenie Ameryce wojny przez najbardziej skrajnych radykałów. Wyzwolił więc on w społeczeństwie amerykańskim wielką determinację i wolę działania na rzecz pokonania wroga i przywrócenia poczucia bezpieczeństwa: „Jest nowe imperium zła. Wszystko trzeba zacząć na nowo”. Zgodzono się, że należy nawet kosztem wielkich wyrzeczeń i ofiar ścigać oraz niszczyć przeciwnika, gdziekolwiek się znajduje. Nie ulegało też wątpliwości, że będzie to wojna długotrwała, skomplikowana, wymagająca ofiar i być może pozbawiona spektakularnych sukcesów. Amerykanie zdecydowali się jednak ją podjąć. Występując przed Kongresem USA 20 września 2001 r. prezydent George W. Bush zapowiadał: „Nasza odpowiedź nie ograniczy się do nagłego odwetu i pojedynczych uderzeń. Amerykanie nie powinni spodziewać się jednej bitwy, lecz długiej kampanii niepodobnej do żadnej z dotychczasowych. (...)”

Żeby pokonać i zniszczyć globalną sieć terrorystów, użyjemy wszelkich dostępnych środków, wszelkich narzędzi i metod dyplomacji, wywiadu, egzekucji prawa, nacisku finansowego, a także każdej broni, która okaże się konieczna”⁸. Warto podkreślić, że wówczas słowa prezydenta Busha spotkały się w Ameryce niemal z powszechną akceptacją.

Dlatego mogło się wydawać, że wielkie pragnienie odwetu na miarę otrzymanych ran zdominuje myślenie polityczne w Waszyngtonie, prowadząc do złego scenariusza: akcji brutalnej i nieprzemyślanej. Stany Zjednoczone, czując się osaczone i obłążone, lecz równocześnie świadome swej potęgi, skierują wysoką technologię wojskową przeciwko każdemu, kto mógłby im zagrozić. Każdy atak terrorystyczny pociągnie za sobą natychmiastowy odwet bez szukania dowodów winy. Walka z terroryzmem przybierze też postać krucjaty przeciw islamowi. W rezultacie ku Ameryce ze świata arabskiego i islamskiego popłyną kolejne fale gniewu i terroryzm zamiast słabnąć, będzie otrzymywał nowe impulsy.

Że taki scenariusz jest możliwy, wskazywały niektóre oficjalne enuncjacje władz amerykańskich. W jednym ze swych pierwszych wystąpień po ataku prezydent Bush, mówiąc o wojnie z terroryzmem, użył określenia „krucjata”, którego historyczne konotacje sugerowały jednoznacznie walkę z islamem. Zaś w cytowanym już przemówieniu na Kapitolu amerykański prezydent deklarował: „Nasza wojna z terrorem zaczyna się od Al-Kaidy, ale się na niej nie kończy. I nie skończy się, dopóki ostatnia grupa terrorystyczna o globalnym zasięgu nie zostanie wykryta, powstrzymana i pokonana. (...) Wszystkie państwa na całym świecie muszą teraz podjąć decyzję: albo jesteście z nami, albo z terrorystami. Od dziś każdy kraj, który gości lub wspiera terrorystów, będzie uważany przez Stany Zjednoczone za wroga”⁹.

Nawet w amerykańskich kręgach opiniotwórczych nietrudno natknąć się na opinię o konieczności przyjęcia nowej, pozbawionej skrupułów taktyki. „W epoce wojen połowicznych i niejawnych, w których przeciwnikami są mgliste postacie terrorystów, coraz bardziej maleją szanse na to, by wojna podlegała międzynarodowym normom sprawiedliwości” – pisał Robert D. Kaplan, jeden z najbardziej wpływowych publicystów amerykańskich¹⁰. Dowodzone, że aby uderzyć w komórkę terrorystów, zanim ci uderzą w Amerykę, lub zaatakować komputerowe centrum dowodzenia wroga, nim jego komputery zaatakują USA wirusami – trzeba to robić z zaskoczenia, jeżeli atak ten ma być skuteczny. To zaś oznacza, że nie będzie czasu na sondowanie opinii publicznej, konsultacje z opozycją czy nawet z państwami sojuszniczymi.

⁸ G.W. Bush, Address to a Joint Session of Congress and the American People, September 20, 2001 (www.whitehouse.gov/news/releases/2001/09/20010920-8.html).

⁹ Tamże.

¹⁰ R.D. Kaplan, *Powrót historii*, „Gazeta Wyborcza” 22-23.09.2001.

Jednakże po tych pierwszych, emocjonalnych i ostrych wypowiedziach pojawiły się oznaki rozwagi i powściągliwości. Choć determinacja nie słabła – administracja Busha uczyniła bowiem wojnę z terroryzmem absolutnym priorytetem polityki USA, uznając, że stawką w tej wojnie jest amerykańskie bezpieczeństwo. „To polityka ukształtowana w atmosferze publicznego gniewu, opierająca się na rozbudzonych przez zamachy lękach” – pisał później Zbigniew Brzeziński¹¹. Po drugie, zdecydowano się wypowiedzieć walkę nie tylko organizacjom terrorystycznym, ale również wspierającym je państwom i ośrodkom, zgodnie z deklaracją prezydenta Busha, że „Stany Zjednoczone nie będą przeprowadzały rozróżnienia między terrorystami, którzy dokonują ataków, a tymi, którzy ich chronią”. A zatem do listy celów dopisano „reżimy sponsorujące terror”, co oznaczało możliwość rozprawienia się z talibami w Afganistanie czy w dalszej perspektywie z Saddamem Husajnem w Iraku.

Równocześnie przystąpiono do konstruowania bardziej przemyślanej taktyki. Przede wszystkim tuż po ataku na Nowy Jork i Waszyngton władze amerykańskie uderzyły w finansowe źródła terroryzmu. Oszacowano, że na przygotowania do zamachu terrorystów musieli wydać 500 tys. dol., co sugerowało ich finansową zasobność. Przypuszczano, że fundusze terrorystów spoczywają na zakamuflowanych rachunkach w USA i Wielkiej Brytanii, także w bankach państw arabskich, w krajach niekojarzonych z terroryzmem, np. w Chinach i Korei Południowej, wreszcie w znanych „rajach finansowych”: Guernsey, Wyspy Kajmana, Cypr i in.

Stany Zjednoczone wraz z innymi krajami niemal natychmiast zamroziły w bankach depozyty, o których sądzono, że należą do organizacji terrorystycznych, wartości 112 mln dol. (do wiosny 2002 r. Amerykanie doprowadzili do zablokowania kont z wkładami ok. 10 mld dol.). Zresztą specjalną rezolucję zmuszającą wszystkie państwa członkowskie do zamrożenia środków finansowych terrorystów, a także uniemożliwienia im działania na swoim terenie przyjęła 28 września 2001 r. Rada Bezpieczeństwa NZ. Powołano nawet specjalny komitet, który miał nadzorować wprowadzenie rezolucji w życie. Wiadomo było jednak, że nie uda się przejąć wszystkich zasobów finansowych Al-Kaidy oraz innych organizacji terrorystycznych, podobnie jak nie można prześledzić całości podejrzanych milionowych transferów pieniężnych. Niemniej jednak dokonano pierwszego uderzenia.

Drugim krokiem było zmobilizowanie wysiłków wywiadu i służb bezpieczeństwa dla ujawnienia powiązań terrorystycznych, odkrycia zamiarów organizacji terrorystycznych, przeniknięcia do ich szeregów. Nie bez racji bowiem sukces zamachowców uznano za największą klęskę amerykańskiego wywiadu w historii. A przecież wywiad ten rozporządzał największą w świecie globalną siecią wywiadowczą. Okazało się jednak, że nie jest w stanie infiltrować środowisk, z których wojujący islam werbuje kandydatów na terrorystów, a już tym bardziej nie posiada

¹¹ Z. Brzeziński, *Bomba jest gdzie indziej*, „Rzeczpospolita” 10-11.09.2005.

sieci agenturalnej w organizacjach terrorystycznych, takich jak Al-Kaida. Zabrakło też – jak pokazały późniejsze dochodzenia – koordynacji pomiędzy różnymi służbami i agencjami. W tej sytuacji skoncentrowanie się na usprawnieniu służb wywiadowczych było czymś całkowicie naturalnym. Punkt ciężkości przenosił się więc z przeciwtomowych bunkrów Sztabu Generalnego i punktów dowodzenia wojskowego do centrów i urzędów tajnych służb wywiadowczych i bezpieczeństwa.

Następnie, choć to Ameryka została ugodzona, zdecydowała się uczynić wojnę z terroryzmem wojną wspólną, prowadzoną z sojusznikami. Już pomysł zamrożenia kont bankowych, a także zdobywania informacji wywiadowczych, pochodzących z różnych państw i stron świata, wymagał współdziałania z partnerami i pozyskania jak najliczniejszych sojuszników w walce z terroryzmem. Dlatego prezydent Bush w swoim wystąpieniu 20 września 2001 r. zapowiadał: „Będziemy potrzebować i prosić o pomoc siły policyjne, wywiady i systemy bankowe na całym świecie”¹².

Pójście drogą współpracy z innymi państwami nie było jednak decyzją automatyczną, gdyż pokusa działania unilateralnego w tym wypadku była ogromna, szczególnie zważywszy zbrojny potencjał Ameryki, niemający sobie równego w świecie. Niektórzy doradcy prezydenta opowiadali się za takim właśnie, jednostronnym działaniem odwetowym, bez zwoływania partnerów i prawnomiędzynarodowym legitymizowaniem akcji. Zresztą republikańska administracja dała się wcześniej poznać jako rzeczniczka takiej właśnie polityki, co zraziło do niej wielu przywódców państw europejskich i pozaeuropejskich.

Dlatego sceptyków i krytyków prezydentury Busha, słusznie zarzucających jej skłonności unilateralne i arogancję, nieliczenie się z interesami sojuszników na arenie międzynarodowej, przypisujących jej maniery „szeryfa z Teksasu”, zaskoczyła rozwaga i determinacja, z jaką Biały Dom przystąpił do budowania koalicji antyterrorystycznej. Choć należy przyznać, że Bush mówiąc „jesteście z nami albo przeciw nam”, tak naprawdę nie pozostawił szerokiego marginesu swobody. Siła ataku na USA i nowy charakter terroryzmu uzmysłowiły jednak administracji, że w obliczu tak wielkiego zagrożenia tylko wspólne działanie państw, narodów, społeczności, instytucji i organizacji zakończy się osiągnięciem celu. „Tej walki nie toczy sama Ameryka – mówił prezydent Bush w Kongresie. Stawką jej nie jest tylko wolność Ameryki. To walka, którą musi stoczyć cały świat. (...) Prosimy wszystkie kraje, by się do nas przyłączyły”¹³.

Niezależnie więc od emocji i retoryki Stany Zjednoczone początkowo zdawały się sugerować, że nie są skłonne do akcji nieprzemyślanych i pochopnych, wprost przeciwnie – uznają konieczność działania multilateralnego. Przy czym niedoświadczony na arenie międzynarodowej prezydent Bush junior musiał przejść przyspieszony praktyczny kurs polityki zagranicznej. Trzeba przy okazji dodać, że Bush

¹² G.W. Bush, Address to a Joint Session of Congress and the American People...

¹³ Tamże.

miął przed sobą najtrudniejszy egzamin. Znalazł się on w Białym Domu akurat w momencie jednej z najgorszych chwil w dziejach Ameryki. Historia miała osądzić G. W. Busha głównie za to, jak wyprowadzi rodaków ze stanu ogromnego wstrząsu, jaki ogarnął Amerykanów po 11 września oraz poczucia zagrożenia, którego skali do końca nie można było jeszcze określić. Administracja Busha stanęła też przed ogromną szansą wykorzystania dramatycznej sytuacji do stworzenia mocnej płaszczyzny współpracy międzynarodowej. Jakkolwiek byłaby to sytuacja paradoksalna, to jednak radykalizm islamski mógł zatem przynieść pewne pozytywne skutki na arenie międzynarodowej, choćby – w obliczu zagrożenia terroryzmem – wzmocnienie współpracy i zbliżenie państw oraz narodów.

Amerykańscy stratedzy zakładali, że wojna z terroryzmem będzie miała dwie fazy. Jedna to bezpośredni odwet Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników za atak na Nowy Jork i Waszyngton, skierowany przeciwko Al-Kaidzie i talibom w Afganistanie. Druga zaś, to właściwy etap wojny – długa, angażująca siły i środki, być może pozbawiona spektakularnych sukcesów walka z terroryzmem. Apogeum pierwszej fazy stanowiło uderzenie na Afganistan w październiku 2001 r. Z formalnego punktu widzenia była to operacja międzynarodowa, prowadzona pod przywództwem Stanów Zjednoczonych, ale z mandatem ONZ, z poparciem *NATO*, które po raz pierwszy w swych dziejach wprowadziło w życie art. 5 traktatu waszyngtońskiego („jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”), szeroką akceptacją opinii światowej oraz deklarowanym udziałem wielu sojuszników i partnerów.

W praktyce jednak interwencja w Afganistanie okazała się akcją *stricte* amerykańską – USA prowadziły ją niemalże samodzielnie, wchodząc jedynie w dwustronne układy z niektórymi państwami *NATO* i nie konsultując z nimi większości decyzji (pewną rolę odegrało tutaj poczucie własnej potęgi militarnej oraz obawy o kunktatorstwo przywódców państw, będących pod rosnącą presją zmieniających się nastrojów społecznych). Wywołało to krytyczne reakcje społeczności międzynarodowej, zwłaszcza sojuszników europejskich, którzy poczuli się zignorowani i pominięci. Zamiast więc umocnić współpracę Ameryki z sojusznikami i partnerami kampania afgańska przyczyniła się do powstania rys we wzajemnych stosunkach. Nie udało się przekuć tragedii 11 września w coś pozytywnego na arenie międzynarodowej, wojna z terroryzmem – przynajmniej w jej pierwszej fazie – nie stała się początkiem kształtowania nowej jakości w relacjach międzynarodowych.

Później, gdy Amerykanie przeszli do drugiej fazy walki z terroryzmem, było jeszcze gorzej. Otóż ekipa Busha z zakończonej w grudniu 2001 r. – jak wówczas sądzono – pomyślnie kampanii przeciwko Al-Kaidzie i talibom w Afganistanie wyciągnęła własne wnioski. Przede wszystkim rozszerzono zakres wojny z terroryzmem. Zdecydowano się wypowiedzieć walkę nie tylko organizacjom terrorystycznym, ale również wspierającym je ośrodkom i państwom, które są potencjalnym zagrożeniem dla USA. Występując 29 stycznia 2002 r.

z Ośrodkiem o stanie państwa prezydent Bush użył formuły „oś zła”, zaliczając do niej Koreę Północną, Irak i Iran¹⁴.

Skonstatowano też skalę potencjału wojskowego Ameryki, rolę siły militarnej w realizacji celów politycznych, możliwość działania USA „na własną rękę”, wreszcie znaczenie determinacji przywódców. Ta determinacja powinna służyć nie tylko obronie żywotnych interesów Ameryki, a zwłaszcza zapewnieniu bezpieczeństwa, ale też utwierdzeniu światowego porządku, opartego na sprawdzonych wartościach, czyli promowaniu demokracji. Dostrzegano w tym długofalowe rozwiązanie problemu terroryzmu. Takie były m.in. przesłanki „doktryny Busha”, ogłoszonej we wrześniu 2002 r. jako Strategia Bezpieczeństwa Narodowego. Jej najważniejsze elementy to uznanie dla roli siły militarnej w rozwiązywaniu problemów i realizacji celów, formuła uderzenia wyprzedzającego potencjalną agresję lub wojny prewencyjnej, możliwość odejścia od działań multilateralnych na rzecz unilateralizmu, wreszcie promowanie demokracji za wszelką cenę¹⁵.

Niewątpliwie „doktryna Busha” odpowiadała wymogom nowej epoki, która nastąpiła po rozpadzie dwubiegunowego porządku w świecie. Wcześniej wystarczała strategia odstraszenia, którą można było szachować Związek Radziecki. Teraz odstraszenie było nieskuteczne wobec przeciwnika – terrorysty – nieposiadającego terytorium, którego musiałby bronić. Dyplomacja zaś okazywała się bezradna, gdy przeciwnik – islamski radykał – odrzucał jakiegokolwiek ograniczenie celów i dążył do całkowitego zniszczenia. Wobec tak wyjątkowych i dramatycznych wyzwań jak międzynarodowy terroryzm także multilateralizm mógł być nieskuteczny, gdyż groził ugrzęźnięciem w zawilościach proceduralnych i w procesie dogadywania się, a w konsekwencji utrudniał podjęcie zdecydowanych i szybkich działań. Zresztą chodziło też o prostą konstatację faktu, że nie wszyscy będą gotowi wspierać Waszyngton w różnych ryzykownych akcjach, które Ameryka jako supermocarstwo i żandarm światowy będzie musiała podejmować. Z kolei wielokrotnie już w historii państwa i ośrodki władzy stosowały uderzenia wyprzedzające lub działania prewencyjne, choćby Izrael w czerwcu 1967 r. Hugo Grotius, uważany za ojca prawa międzynarodowego, pisał: „Obrona jest konieczna wówczas, gdy mamy pewność nie tylko w odniesieniu do potęgi sąsiadów, ale także w odniesieniu do ich zamiarów”. Warto też zauważyć, że propozycje zwane *preventive defence* pojawiły się w okresie prezydentury Clintona¹⁶. Tym razem jednak po raz pierwszy uczyniono z tego oficjalną doktrynę.

¹⁴ G.W. Bush, State of the Union Address: January 29, Washington, The White House, January 2002.

¹⁵ *The National Security Strategy of the United States*, Washington, The White House, September 2002.

¹⁶ Zob. szerzej: J. Kiwerska, *Neokonserwatywna polityka George'a W. Busha. Założenia, realizacja i skutki*, Zeszyty Instytutu Zachodniego 38/2005, s. 41-43.

Choćby dlatego „doktryna Busha” była swoistą rewolucją w polityce zagranicznej, co zresztą zostało tak właśnie określone przez niektórych ekspertów¹⁷. Oznaczała – jak dowodził Z. Brzeziński – „całkowite zerwanie strategicznej ciągłości w stosunkach międzynarodowych”¹⁸. Jej istota bowiem polegała na tym, że tradycyjne zagrożenia związane z rywalizacją mocarstw zostały w znacznym stopniu zastąpione przez groźbę terroryzmu i wspierających go reżimów z „osi zła”.

Także główne elementy nowej doktryny potęgowały wrażenie odejścia od tej ciągłości w stosunkach międzynarodowych. Po pierwsze, koncepcja roli siły w polityce i wizja siłowych rozwiązań wydawały się sprzeczne z zasadami działania państw demokratycznych. Po drugie, „doktryna Busha” – choć nie wykluczała multilateralizmu i rozwiązań dyplomatycznych oraz legitymizacji prawnomiędzynarodowej – to jednak zakładała z dużym stopniem prawdopodobieństwa działania unilateralne, w zależności od amerykańskich potrzeb i bez względu na opór innych. Po trzecie wreszcie, traktowana doktrynalnie wojna prewencyjna wprowadzała zamęt do jasnych zasad, gdyż była sprzeczna z prawem międzynarodowym, które sankcjonuje użycie siły w obronie własnej wyłącznie w razie faktycznego, nie zaś potencjalnego zagrożenia. Ameryka, uwalniając się od ograniczeń wynikających z prawa i z instytucji międzynarodowych, zmierzała zarazem do ograniczenia suwerenności państw, które mogłyby jej zagrozić. Istniała też uzasadniona obawa, że działania wyprzedzające staną się regułą stosowaną przez każde państwo, zależnie od sytuacji i potrzeb.

Można zatem postawić tezę, że radykalizm islamski stał się przyczyną sformułowania doktryny, która – łamiąc dotychczasowe zasady ładu światowego – wprowadzała zamęt na arenie międzynarodowej oraz komplikowała stosunki USA z innymi państwami. Wynikało to z faktu, że „doktryna Busha” wywołała ostrą polemikę w świecie. Ujawniła nie tylko rozbieżność poglądów co do charakteru i metod walki z nowymi zagrożeniami, ale była okazją do zmanifestowania narastającej niechęci do Ameryki. Oponenci, w tym większość sojuszników europejskich, wątpili, czy siła może eliminować zagrożenia, odrzucali wojnę prewencyjną, uznając ją za działanie agresywne i sprzeczne z prawem. Przywiązani byli do dyplomacji jako najlepszej metody osiągania celów politycznych i likwidowania zagrożeń, zaś koncepcja amerykańska przywodziła im na myśl działania „szeryfa z Teksasu”, który siłą zaprowadza porządek w miasteczku, i to wbrew woli jego mieszkańców. Nawet tak bezprecedensowe zagrożenie jak terroryzm islamski nie był – zdaniem krytyków – podstawą do formułowania doktryny sprzecznej ze standardami międzynarodowymi¹⁹.

¹⁷ Zob. I.H. Daalder, J.M. Lindsay, *The Bush Revolution, The Remaking of American's Foreign Policy*, The Brookings Institution, May 2003.

¹⁸ Z. Brzeziński, *Bomba jest gdzie indziej*, „Rzeczpospolita” 10-11.09.2005.

¹⁹ Zob. szerzej: J. Kiwerska, *Odwrót od rewolucji? Nowe elementy w amerykańskiej polityce zagranicznej*, Zeszyty Instytutu Zachodniego 43/2006, s. 12-14.

Nie byłoby jednak później tak wielkich zawirowań na arenie międzynarodowej, wstrząsu dyplomatycznego w układzie transatlantyckim i tak znacznego osłabienia pozycji Ameryki, gdyby tworzące „doktrynę Busha” założenia pozostały tylko na papierze i w wypowiedziach polityków. Problem polegał na tym, że zostały one wprowadzone w życie. Interwencja Stanów Zjednoczonych w Iraku, podjęta 19 marca 2003 r. w ramach – jak twierdził Waszyngton – wojny z terroryzmem, była dramatyczną i brzemienną w skutki manifestacją „doktryny Busha”. Dla krytyków tej operacji potwierdzało się przekonanie, że oto USA inicjują nowy ład światowy, w którym one decydują za wszystkich, przesadzają, co jest legalne, a co nie, wypełniają rolę supermocarstwa w sposób arbitralny, siłowy i sprzeczny z obowiązującymi normami prawa międzynarodowego. Ameryka i jej stosunkowo nieliczni sojusznicy atakowali Irak bez mandatu ONZ, poparcia *NATO*, aprobaty opinii światowej.

Można było uznać słuszość niektórych motywów uderzenia na Irak, choćby chęć definitywnego rozprawienia się z reżimem Saddama Husajna. Ale oprócz tego były przesłanki – w tym unieszkodliwienie arsenałów broni masowego rażenia oraz powiązania Saddama z Al-Kaidą – które okazały się pustą powłoką. Już to podważyło wiarygodność Stanów Zjednoczonych, profesjonalizm ich służb wywiadowczych, szczerłość polityków. Nadwężeniu uległa reputacja supermocarstwa. Irak okazał się więc awanturą wątpliwie uzasadnioną, kosztowną i do tego kiepsko przeprowadzoną.

Bo wprawdzie operację „Iracka Wolność” 1 maja 2003 r. prezydent Bush uznał za zakończoną, jednak długotrwały i do dziś niezakończony pełnym sukcesem proces opanowywania chaosu, przywracania stabilizacji, budowy demokracji dowodził, że Amerykanie, rozpoczynając awanturę iracką, okazali się bardziej agresorami i sprawcami nieszczęść niż wybawcami. Zamiast uczynienia z Iraku oazy demokracji w tym regionie świata, jego terytorium zostało zamienione w centrum terroryzmu, ogarnięte wojną domową, zdominowane przez bandytyzm, kwitł radykalizm w skali i formie dotychczas nad Tygrysem i Eufratem nieznaną. A przecież Irak miał być kolejnym zwycięskim etapem w wojnie z takim właśnie radykalizmem.

Decyzja administracji Busha, aby wobec zagrożenia terrorem islamskim działać zdecydowanie, stanowczo i bezkompromisowo, nie oglądając się na ograniczenia prawnomiędzynarodowe i brak szerokiego poparcia w świecie, ale przy wykorzystaniu bezprecedensowej siły militarnej – miast zdecydowanych sukcesów w walce z terroryzmem – doprowadziła do eskalacji różnego rodzaju radykalizmu i chaosu. Zamiast przyczynić się do wzrostu i umocnienia rangi Ameryki w świecie – stała się powodem jej podważenia i zakwestionowania amerykańskiej wiarygodności. Może nie bezpośrednio, ale w jakimś stopniu wpłynęło to na obniżenie bezpieczeństwa państwa amerykańskiego. Taka konkluzja wydaje się płynąć z operacji w Iraku, potwierdzona zresztą późniejszymi niepowodzeniami działań Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników w Afganistanie.

Gdy więc na początku interwencji w Iraku potęga Ameryki budziła obawy i rodziła przerażenie, ale też zmuszała do respektu, to po kilku latach dość ograniczonych sukcesów w tym regionie świata prestiż tego państwa spadł, a jego skuteczność militarna nie była już tak bezdyskusyjna. Zdaniem obserwatorów Ameryka w wojnie z terroryzmem ponosiła klęskę, a przynajmniej brakowało jej spektakularnych sukcesów. Supermocarstwo nie sprawdziło się w Iraku, gdzie doświadczyło porażek militarnych, politycznych, a także moralnych. Ten ostatni aspekt sprawy związany był ze skandalem w więzieniu Abu Ghraib pod Bagdadem, gdzie amerykańscy strażnicy upokarzali i torturowali osadzonych tam Irakijczyków. Po pewnym czasie okazało się, że torturowanie więźniów, w tym także ujętych w Afganistanie talibów i bojowników Al-Kaidy, było niemalże regułą w postępowaniu Amerykanów.

Działania takie podważały to, co stanowiło ważny atut Stanów Zjednoczonych, wpływało na ich rangę i pozycję w świecie. Chodziło o moralne atrybuty państwa modelowo rozwijającego się, jego zasady i wartości, wytyczające wysokie standardy w świecie demokratycznym. To właśnie tzw. miękka władza (*soft power*) tradycyjnie decydowała o sile amerykańskich wpływów w świecie²⁰. Tymczasem przypadki takie, jak Abu Ghraib czy przetrzymywanie w nieskończoność i bez sądów więźniów w amerykańskiej bazie Guantanamo, wymuszanie torturami zeznań w tajnych więzieniach CIA, rozsianych w różnych częściach świata, stanowiły złamanie pewnych zasad, odstąpienie od standardów demokratycznego państwa. Dla opinii międzynarodowej, zwłaszcza w Europie, było to nie do zaakceptowania, nawet biorąc pod uwagę wyjątkowość sytuacji i szczególny charakter osadzonych więźniów (terroryści), a także przesadzoną w ostrości krytykę walczących wybiórczo o prawa człowieka organizacji.

Dla dużej części opinii światowej Amerykanie swoim postępowaniem upodabniali się do zwalczanych przez siebie terrorystów i skrajnych radykałów. A już z pewnością – zdaniem licznych krytyków – można było uważać ich w kwestiach praw człowieka za hipokrytów. W każdym razie USA straciły wiele ze swej atrakcyjności i przyzwoitości, a przynajmniej wystawiły się na strzał krytyki w sferze, która dotychczas była ich znaczącym atutem i dawała silny tytuł do artykułowania, a nawet egzekwowania właściwych norm i zasad postępowania.

Z taką krytyką spotkał się także prezydent Barack Obama, po tym, gdy amerykańskie siły specjalne – na jego rozkaz – zabiły w nocy z 1 na 2 maja 2011 r. – po latach poszukiwań – Osamę bin Ladena. Nikt w świecie demokratycznym nie kwestionował zasadności unicestwienia najbardziej poszukiwanego terrorysty świata, jednak fakt, że była to swego rodzaju egzekucja bez próby ujęcia i osądzenia bin Ladena – jak przystało na standardy demokratycznego państwa – wywołał ostre reakcje. Zaskoczenie było tym większe, że Obama utożsamiany był z działaniami,

²⁰ Pojęcie *soft power* jako pierwszy użył Joseph Nye w książce *Bound to Lead* opublikowanej w 1990 r.

które miały na celu odbudowę owej *soft power* Ameryki. Następca Busha postrzegany był w świecie jako zwolennik polityki wyważonej, a nie z pozycji siły, odwołującej się do zasad i wartości – także w walce z różnego rodzaju radykalizmami. Tymczasem w najbardziej skrajnych ocenach po zabiciu bin Ladena prezydent Obama przyrównywany był do Busha jr. i oskarżany o łamanie praw człowieka.

Nasuwa się więc kolejna teza. Stany Zjednoczone, prowadząc wojnę z terroryzmem, były w tej walce tak zdeterminowane, że – w myśl zasady „cel uświęca środki” – uciekały się do metod sprzecznych z prawami człowieka i ze standardami państwa demokratycznego, łamały reguły i przyjęte zasady. Nadwerężało to ich reputację, osłabiało autorytet, wytrącało argumenty, i to w sytuacji, gdy raczej były w dużej mierze po stronie Ameryki.

Być może jest to bardzo kontrowersyjna konkluzja, a przynajmniej zbyt daleko idąca, zwłaszcza w odniesieniu do sposobu wyeliminowania przywódcy Al-Kaidy. Bo choć z jednej strony istniały wątpliwości, czy wolno naruszać prawa człowieka dla ochrony np. bezpieczeństwa i czy można naginać wypracowane przez zachodnią cywilizację standardy, w tym naruszać suwerenność innego państwa (wszak akcję przeprowadzono w Pakistanie, nie informując o planach władz w Islamabadzie), to pojawiały się także inne głosy. Warto w tym miejscu przytoczyć słowa Wiktora Osiatyńskiego. Ten znany konstytucjonalista dowodził, że „bin Laden to nie jest zwykły przestępca. To zbrodniarz stanowiący śmiertelne zagrożenie dla setek tysięcy ludzi. Prawa człowieka są także po to, by chronić potencjalne ofiary. (...) Był przywódcą wrogiej armii. Rozsądek i ochrona dobra publicznego przemawiały za tym, by go zabić. To nie jest kwestia dowodzenia winy, kary, sądu, tylko kwestia unieszkodliwienia w samoobronie. (...) Amerykanie mieli prawo go zabić w samoobronie”²¹.

Te kontrowersje natury moralnej i prawnej nie zmieniały spektakularnego sukcesu akcji podjętej przez Amerykanów w maju 2011 r. w ramach toczącej się nadal walce z terroryzmem. Można powiedzieć, że unicestwiając przywódcę Al-Kaidy prezydent Obama zrealizował główny cel polityki zagranicznej Busha – wyeliminował głównego terrorystę świata i czołowego apologetę najbardziej radykalnego ruchu politycznego naszych czasów. Paradoksalnie stało się to decyzją tego właśnie prezydenta, który powtarzał, że bezpieczeństwo Ameryki zależy jednak mniej od jej militarnej potęgi i gotowości używania siły, a bardziej od tego, jak jest postrzegana w świecie. „Amerykańskie przywiązanie do demokracji, praw człowieka i praworządności stanowi podstawę naszej siły i wpływów w świecie” – czytamy w ogłoszonej w maju 2010 r. Strategii Bezpieczeństwa Narodowego. Stąd np. zaprzestanie „tortur, które są niezgodne z naszymi wartościami”, a przede wszystkim „nieskuteczne i alienują Stany Zjednoczone w świecie”²².

²¹ Wywiad z W. Osiatyńskim pt. *Ben Laden musiał zginąć*, „Gazeta Wyborcza” 7-8.05.2011.

²² National Security Strategy, May 2010 www.whitehouse.gov/sites/default/files/rss_viewer/national_security_strategy.pdf.

Poza tym – i to wymaga zaakcentowania – nie należało się koncentrować wyłącznie na walce z terroryzmem. Podczas gdy administracja Busha wojnę z terroryzmem uczyniła absolutnym priorytetem i treścią swej polityki, podporządkowując jej styl działania i taktykę, to prezydent Obama, dostrzegając groźbę zbrojnego ekstremizmu, zwłaszcza w wydaniu Al-Kaidy, zwracał też uwagę na inne zagrożenia i wyzwania. Przynajmniej równie mocno, jeśli nie bardziej podkreślano wagę niebezpieczeństw związanych z bronią masowego rażenia, jej proliferacją, zagrożenia związane z programami nuklearnymi Iranu i Korei Płn.; wyraźniej dostrzegano konieczność ograniczenia zbrojeń, w tym nawet rozbrojenia nuklearnego.

W każdym razie terroryzm nie utrzymał rangi dominującej w polityce administracji Obamy, która zdawała się rozumieć, że hasło „wojna z terroryzmem” odnosi się do spraw abstrakcyjnych, nie wskazuje bezpośrednio, gdzie tkwi problem i wróg. Dlatego np. trudno było przekonać wielu partnerów i sojuszników, aby uczynili z tego sloganu główny priorytet swojej polityki zagranicznej. Szczególnie, jeśli nie doświadczyli w tak dramatyczny i bezprecedensowy sposób zderzenia z okrucieństwem Al-Kaidy, jak Ameryka 11 września 2001 r. Posługiwanie się hasłem „walka z terroryzmem” bez możliwości jasnego zdefiniowania, kto jest wrogiem, nadmierne zawężyło i upraszczało skomplikowany splot przyczyn i uwarunkowań. A wśród tego splotu przyczyn leżało niewątpliwie negatywne postrzeganie Ameryki w świecie islamu. Stąd słynne wystąpienie prezydenta Obamy w Kairze 4 czerwca 2009 r., gdy to zwrócił się on do społeczności muzułmańskiej z pozytywnym przesłaniem, deklarując wolę pokoju, wsparcia i pomocy. Co więcej, amerykański przywódca – inaczej niż wielu dotychczasowych prezydentów USA – krytykując izraelską politykę osadnictwa, wyraźnie artykułował punkt widzenia Palestyńczyków, co wywołało irytację Izraela.

Patrząc zatem z tej perspektywy, można powiedzieć, że operacja zabicia przywódcy Al-Kaidy, mimo wszystko bohatera masowej wyobraźni w świecie muzułmańskim, była nie tylko akcją kontrowersyjną z moralnego i prawnego punktu widzenia, ale również złamaniem reguł, które starał się promować Obama i jego administracja. Uznał on jednak, że jest to konieczne, aby „zdjąć z Amerykanów dławiący ciężar strachu”, który wcześniej administracja Busha wykorzystała do prowadzenia swej kontrowersyjnej polityki w ramach wojny z terroryzmem²³. Okazało się również, że w zderzeniu świata Zachodu ze zbrojnym ekstremizmem obie strony posługują się akcjami spektakularnymi – najlepiej przemawiającymi do masowej wyobraźni. Tak jak terroryzm bazuje na sianiu swoimi aktami przemocy strachu i przerażenia, tak samo demokratyczny przywódca amerykański zdecydował się na operację spektakularną, aby wyrzucić wrażenie, wyeliminować, a przynajmniej osłabić strach u Amerykanów, dać należną im satysfakcję, a nawet poczucie triumfu. W tym momencie mniejsze znaczenie miał fakt, z którym zgadzano się

²³ J. Traum, *Wolność od strachu*, „Gazeta Wyborcza” 7-8.05.2011.

dość powszechnie, że Osama bin Laden, chroniący się w nędznej siedzibie pod Islamabadem, nie odgrywał już *de facto* tej roli w świecie zbrojnego ekstremizmu jak kiedyś. Jego zabicie nie miało zatem znaczenia strategicznego. Parafrazując wypowiedź W. Laqueura można stwierdzić: „zabicie Osamy bin Ladena było niczym, propaganda tego aktu – wszystkim”. W tym starciu Ameryki z terroryzmem historia jakby zatoczyła koło.

Pozostaje jednak otwarty problem dalszego zmagania się z terroryzmem. Dla Stanów Zjednoczonych, i to bez względu na proveniencję kolejnych prezydentów, pozostanie on wyzwaniem, ale zdominowanym wagą innych problemów i kłopotów. Sytuacja w świecie jest bowiem niezwykle dynamiczna. Nie należy też sądzić, że pewne złamanie zasad, jakim był sposób likwidacji przywódcy Al-Kaidy, stanie się regułą w dalszym postępowaniu Amerykanów. Jeśli będą ginąć kolejni terroryści, to raczej w warunkach prowadzonej przez obie strony wojny (Afganistan, Pakistan, Irak). Inaczej Ameryka upodobniłaby się do zagrożenia, które sama stara się zwalczyć, a przede wszystkim jeszcze bardziej nadwerżyłaby atrybuty swojej *soft power*. Osama bin Laden był celem wyjątkowym, gdyż symbolizował najbardziej skrajny i fanatyczny radykalizm. Śmierć tego symbolu oznaczała zamknięcie pewnej karty w walce Stanów Zjednoczonych z terroryzmem, którego punkt kulminacyjny wyznaczył 11 września 2001 r. Jest to jednak tylko zamknięcie pewnej karty.

Atak Al-Kaidy na Stany Zjednoczone – najbardziej dramatyczna i spektakularna manifestacja radykalizmu, zmieniająca stosunek Amerykanów do bezpieczeństwa – miał też przełomowe znaczenie dla amerykańskiej polityki zagranicznej. Ogłoszono wojnę z terroryzmem i określono jej strategię – „doktrynę Busha”, która wprowadzała zamęt na arenie międzynarodowej. Co więcej, determinacja Ameryki w walce z terroryzmem powodowała, że uciekano się do metod sprzecznych ze standardami państwa demokratycznego. Wszystko to osłabiało pozycję i rangę USA w świecie, utrudniając również współpracę na arenie międzynarodowej i skuteczną walkę z zagrożeniami.

ABSTRACT

The Al Qaeda attack on the United States, the most dramatic and spectacular manifestation of radicalism that changed the Americans' attitude to security, was also a significant turning point in American foreign policy. War on terror was declared and its strategy, the so-called Bush doctrine, was defined, throwing the international scene into turmoil. America's determination in fighting terrorism led it to resort to methods contrary to the standards of a democratic state. In consequence the USA's position in the world became weaker, hampering international cooperation in effective dealing with threats to security.